

## „Gorzkie lekarstwo”. Polska i autodiagnozy krytyczne

Jak wynika z poniższych fragmentów, autorowi *Rachunków* przyświecają dwa podstawowe cele przy sporządzaniu zapisów wydarzeń i nastrojów gorącej siódmej dekady XIX wieku, która zakończyć się miała Komuną Paryską, Sedanem, poważnymi zmianami sił na mapie Europy, a dla Polaków – ostatecznym wybrzmieniem przestrogi „point de rêveries”. Kraszewski chce przedstawiać „obraz umysłowy wieku naszego”, co otwiera jego spostrzeżenia na perspektywę globalną, oraz pragnie z tego punktu widzenia obrazować „życie nasze społeczne”. Własną rolę obserwatora, diagnosty, a przede wszystkim – poszukiwacza prawdy (co podkreśla motto „All is true”) Kraszewski widzi tu bardzo wyraźnie i niezwykle nowocześnie. Czuje się „dziejopisem” oraz badaczem zjawisk, które sam określa jako „ciekawe objawy”, „fenomeny życia społecznego”, ale zwłaszcza – „sprawozdawcą znikającej teraźniejszości”. Jak bowiem zauważa, „wszystko, aż do najdrobniejszych faktów, ma głębokie znaczenie dla głębiej wglądającego umysłu”. Stale przekształcająca się rzeczywistość zawiera w sobie znaki zmiany i zapowiedzi przyszłości, które łatwo przeoczyć, jeśli zaniedba się obowiązek ciągłego zapisywania i bilansowania: „kto ujął pióro, aby spowiadał swego czasu niedole i błędy, ten czuć powinien, że kapłański pełni obowiązek”. A czas zdaje się wciąż przyspieszać: w okresie 1863–1869, jak notuje tu Kraszewski, „przeżyliśmy lat sto”.

Pisarz ma świadomość wyjątkowości tego okresu, który, jak wiadomo, w refleksji historycznej często wpadał później w bezimienną „międzyepokę”. Z poniższych fragmentów, otwierających rachunki z lat 1867, 1868 i 1869, wyłania się charakterystyczna sytuacja oczekiwania na to, co za chwilę musi się zdarzyć – przede wszystkim na wojnę, która odmieni losy Europejczyków i Polaków (rzeczywiście tak się stało). Jednocześnie Kraszewski podkreśla nieustannie, że ci ostatni nie mają już na co czekać, bo klęska powstania styczniowego w istocie określiła ich możliwości i niemożliwości na kolejne dekady. Polacy powinni zatem jak najszybciej – i to motyw przewodni tych zapisów – zweryfikować swoje szanse, wyznaczyć sobie wspólne cele, które unieważnią różnice poglądów politycznych i opcji światopoglądowych.

Spółeczeństwo polskie, zdaniem Kraszewskiego, wyszło z powstania nie tylko głęboko zranione i osłabione, lecz także – i przede wszystkim – podzielone. Te podziały były oczywiście wyraźne już od początku siódmej dekady XIX wieku w dyskusjach przeciwników i zwolenników powstania, a pogłębiły się po jego wybuchu, określając charakter relacji między „czerwonymi” i „białymi”. W drugiej połowie lat 60. XIX stulecia, jak pokazuje autor *Rachunków*, te różnice się pogłębiają i wyostwiają, nie tylko na gruncie oceny sensowności powstańczego zrywu. Sam Kraszewski w poniższych fragmentach nazywa powstanie 1863 roku „niewczesnym i nieszczęśliwym” oraz „aktem rozłamu narodowego”. Taki też stosunek do niepodległościowego czynu ujawnia się w jego powieściach z tego samego okresu pisanych również pod pseudonimem Bolesławity, w których jednocześnie (jak w *Dziecięciu Starego Miasta*) głosi kult męczenników za narodową sprawę.

W *Rachunkach* ważniejsze niż stosunek do powstania są jednak rozpoznania i diagnozy współczesności. Kraszewski niezwykle ostro ocenia stan zbiorowej świadomości, której efektem są oczekiwania sprzeczne z polskim interesem lub całkowicie nierealne. Opatrując swoje bilanse kolejnych lat „wewnętrznym” mottem z Johna Stuarta Milla: „Krytyką narody rosną...”, autor, jak sam to określa, aplikuje czytelnikom „gorzkie lekarstwo”. Składają się na nie niewesołe diagnozy stanu dezorganizacji, rozbicia życia polskiego, które jest efektem „zarozumiałości i samopaśności”. Żadna z pozostających ze sobą w trwałym konflikcie opcji: „konserwatywna” i „rewolucyjna” nie daje sensownego czy pozytywnego programu, żadna też nie przynosi szans na zespolenie społecznych żywiołów.

Pierwsza z nich wskazuje poglądy i społeczne recepty katolików spod znaku ultramontanizmu, zwolenników krakowskiej szkoły historycznej oraz stańczyków. Nawiasem mówiąc, poniższe fragmenty *Rachunków* to doskonały, bo przygotowywany „na gorąco” komentarz do *Teki Stańczyka*, którą autor nazywa „konwulsyjnym grubiaństwem”, a jej program rozpoznaje jako „sobkowstwo ubrane w pracę organiczną”. „Trup” konserwatyzmu zaraża polskie myślenie o teraźniejszości i przyszłości zgnilizną, zamyka w pułapce myślenia kastowego i pielęgnacji szlacheckich resentymentów – podczas gdy lud wciąż ma pozostawać tylko „embrionem cywilizowanego narodu”. Inny odłam konserwatyzmu – ultramontanizm – blokuje z kolei rozwój polskiej myśli katolickiej, zamyka ją w papieskich dogmatach, przynosząc jedynie specyficzne owoce w dziedzinie stylu życia („nabożeństwo jest w modzie” – notuje Kraszewski). Stańczycy i ultramontanie stroją się wyłącznie w szaty autorytetów politycznych i moralnych, gdyż w istocie „nie mamy powag narodowych”. Określenia używane przy okazji tych rozpoznań przez pisarza: „konserwatyzm bezwzględny” oraz „katolicyzm krańcowy” wskazują na niemożność dialogu z przedstawicielami owych kierunków myślenia.

Nie widzi on tych możliwości także w poglądach opcji „rewolucyjnej”, podkreślając nieustannie w *Rachunkach*, że „rewolucja przyjaciółką Polski być nie może”. Zaraza rewolucji to, jak sugeruje, choroba moskiewska, która musi stać w opozycji do „idei polskiej”. Podobnie jak w powieściach Bolesławity, również tu Kraszewski zaznacza, że oto na oczach jemu współczesnych toczy się walka o świat, w której zwycięstwo Rosji oznaczać będzie chaos i panowanie zwierzęcych instynktów.

Między tymi dwiema skrajnymi propozycjami światopoglądowymi i politycznymi autor *Rachunków* szuka miejsca dla „stronnictwa pośredniego” – samemu się doń zaliczając. Dla stronnictwa budującego dość enigmatycznie określony „program ludzi postępu”, którego ramy wyznacza koncepcja ewolucji: „Obóz to wyrobników przyszłości, do którego by należeć, trzeba mieć odwagę i hart duszy”. Choć nie pojawia się tu termin „pozytywizm”, w istocie w jego stronę zmierza diagnoza Kraszewskiego. Notując z goryczą, że „skupiających sił nam braknie”, „nie ma już placu neutralnego, na którym byśmy się wszyscy spotkać mogli”, autor poszukuje możliwości społecznego dialogu opartego na trzeźwych rozpoznaniach polskiej i europejskiej teraźniejszości. Szuka punktów scalających jakiekolwiek myślenie o przyszłości. Jednocześnie podkreśla, że społeczna dezorganizacja nakłada się na tę zewnętrzną, będącą efektem innego kształtu polskiego życia w każdym z zaborów, a także na rozdarcia między krajem a emigracją. Notuje: „rozdarcie tej społeczności, której brat jeden umiera w Sybirze, drugi skacze w Paryżu, trzeci się podli w Warszawie... czwarty gra w karty w Homburgu”.

W poniższych fragmentach *Rachunków*, podobnie jak w manifestach programowych, z którymi już niedługo wystąpią warszawscy „młodzi”, wyraźnie słychać tykanie zegara (co charakterystyczne, Bolesławita pisze tu o konieczności „odmłodzenia” polskiej myśli!). I czuć niepokój, czy uda się Polakom czegoś nauczyć w tych czasach zamętu i zmiany – bo może być przecież i tak, że zwolennicy dialogu i postępu pozostaną wraz z samym dziejopisem, jak to przejmująco nazywa Kraszewski, „straconymi forpocztami”...

## Bibliografia

- Kowalczuk U., „Różnostronność”. Józef Ignacy Kraszewski w tekstach Bronisława Chlebowskiego, w: *Kraszewski. Poeta i światy. W 200. rocznicę urodzin i 125. rocznicę śmierci pisarza*, red. T. Budrewicz, E. Ihnatowicz, E. Owczarz, Toruń 2012, s. 205–221.
- Literatura i kultura lat 60. XIX wieku między polityką a prywatnością. Dyslokacje*, red. U. Kowalczuk, D.W. Makuch, D.M. Osiński, Warszawa 2019.
- Literatura południa wieku. Twórczość lat sześćdziesiątych XIX stulecia wobec romantyzmu i pozytywizmu*, red. J. Maciejewski, Warszawa 1992.
- Plachecki M., *Dekadentyzm południa wieku. Rekonesans*, „Studia Filologiczne Akademii Świętokrzyskiej” 2002, t. 17.
- Plachecki M., *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)*, Warszawa 2009.
- Rudkowska M., *Kraszewski wobec Rosji. Próby komparatystyczne*, Warszawa 2009.

***Rachunki. Z roku 1867, R. 2, cz. 1 (s. 7–16)***

[...] Kto przeżył nieco lepsze, a przynajmniej poważniejsze czasy kraju naszego, musi krwawo zboleć nad teraźniejszym; jesteśmy na wsze strony w upadku sromotnym, nikt nie chce się przyznać do tego, ale ogół żywota dowodzi. W samym rwaniu się naszym do życia jest jakaś niemoc... która do niczego wziąć się nie daje skutecznie, wszystko z rąk nam leci. Bezstronnym okiem spójrzmy na naszą społeczność – wszędzie są wyjątki niemiłe i niedobre, u nas wyjątkiem... coś lepszego i czystsze.

Życie nasze społeczne, umysłowe, drga jeszcze i porusza się impulsą dawniej mu nadaną, ale samoistnej siły nie ma. Dokoła ruiny, a na gruzach zbytek i rozpusta. Pierwszym znamieniem upadku narodu są jego obyczaje... rodzina w rozprzężeniu, węzły najświętsze potargane, wstyd utracony, opinia bezsilna, zahukana... odepchnięta. Żle robią i gniewają się, że im to złe ktoś śmie wyrzucać – niech oni broją bezkarnie – a świat milczy!... [...]

Dawniej nie bylibyśmy może bez grzechu, ale nigdy bez wstydu. Cechą tej chwili jest właśnie, żeśmy się go całkiem pozbyli, zepsucie podnosi czoło do góry i urąga się pocziwym... Swoboda przekonań dochodzi do tego stopnia, iż nieraz w przyzwoitych domach słyszeć można rozprawy o tym, co wczoraj było dogmatem, a dziś... jest starym łachmanem... Co komu do tego, jeśli mi moje przekonanie pozwala skakać i bawić się nad głową nędzy i głodu, wobec klęsk publicznych? Czyż nieraz tak nie rozumiemy? Innym przekonaniem jest, że występki popełnia, kto budzi niebezpieczne cienie ojczyzny, uczucie obowiązków... i ofiary... Pod tymi wyrazy kryją się mrzonki czerwonych!!

Przekonania wszelkiej barwy doszły do tej emancypacji, że ponad sobą opinii nie uznają – że wszelkiej zasadzie przeczą. Tolerancja dla występków towarzyskich dochodzi do apostazji przeciw cnocie i prawdzie.

[...] Z tej dawnej świętej polskiej rodziny, z tego domu modlitwy i obowiązków, cnoty i ofiary, z tego ołtarza, u którego ogniska ogrzewały się pokolenia – zrobiliśmy kuchnię, do wypiekania sobie przysmaczków.

Jęczym na ucisk, stękamy na despotyzm moskiewski, na wynaradawianie germanizmem – ale uderzmy się w piersi – czy wobec tej grozy, tych niebezpieczeństw stoimy choćby godni męczeństwa czy poszanowania? Nie szanują nas, bo my się nie szanujemy sami. Z małymi wyjątkami w obrazie krajów naszych... wszędzie, co za straszliwa sprzeczność niedoli i swawoli, męczarni i szafu, jęku i tańcu, nędzy i marnotrawstwa, głodu i zbytku... Jakie rozdarcie tej społeczności, której brat jeden umiera w Sybirze, drugi skacze w Paryżu, trzeci się podli w Warszawie... czwarty gra w karty w Homburgu<sup>1</sup>... a piąty

---

<sup>1</sup> Hamburg (dolnoniemiecka wymowa Homburg) – miasto hanzeatyckie u ujścia Łaby, w 1871 roku stało się częścią Niemiec.

z tęsknoty kona w Ameryce... Czasem jęć bratni dochodzi uszów, ale nań odpowiadamy jak Kain – „Zalim ja jest stróżem brata mego?”... Wspólnych spraw nie ma już ojczyzna, co najwięcej są prowincjonalne, powiatowe, parafialne... Gdybyż obowiązek spełniał się choć w progach domu! A to, czego się dopuszczamy, nie może się nawet szaleć ani namiętnością uniewinniać, ani bezwiednym uniesieniem...

Połowa... (jeśli połowa tylko) tych przestępstw i występków popełnia się z zupełną świadomością znaczenia ich i następstw, z krwią chłodną, z wyrozumowaną umiejętnie *ad hoc* formułką, z filozoficzną podstawką i szyderską kopertą przekonania...

Rozumować jest tak łatwo, że nawet najczarniejsze rzeczy tą gąbką się bielą, a dziś tyle jest systemów, systemików i teoryjek, że komu co potrzeba, znajdzie gotowe na tandecie.

Chce mu się nic nie robić? zaszywa się w konserwatystę... chce mu się nic nie dawać nawet na pomoc naukową...? znajdzie się w ekonomii politycznej wymówka... chce nic nie myśleć? zrobi się praktycznym dla przyszłego dobra kraju... wszystkiego umiemy obronić, każdą rzecz uniewinnić, a swawola i rozprężenie powołują się na fizjologię i historię.

Nie wiemy przyszłości – Bóg ją piastuje na łonie... *Deus admirabilis, fortuna mutabilis*<sup>2</sup>, ale jeśli nasze własne, domowe sprawy, – te, które od nas tylko samych zależą, pójdą tym trybem we wszystkich kierunkach, jak dotąd idą; jeśli z roku na rok posuwać się będziemy dalej na tej drodze... nietrudno prorokować... upadek ostateczny i bezpowrotny.

W sobie zabijamy ojczyznę.

Nie mówię już o wielkiej całości państwowej, która rozbita w rzeczywistości, mało w czym sercu ocalała... ale z innych węzłów, co nas spajały – ile nienaruszonych zostało??... Pęka i rozlatuje się wszystko... Ojcowie, dzieci, mężowie, żony, bracia i siostry... idziemy samopas obcy sobie; nie naród już... ale stado przez wilków rozbite...

Pod pozorem swobody – poszliśmy na wyuzdaną swawolę...

Wszędzie jej pełno – ładu nigdzie... nigdzie poszanowania świętości.

Co gorzej, w miejsce chłodnej obojętności rodzi się zawziętość, walki, nienawiści... szermowania podstępne. Cóż to za znaczący symptom, gdy dziś młodzi a starzy dzielą się na dwa uznane, oddzielne, prawie nieprzyjazne obozy – gdy młodzi sami tylko chcą być reprezentantami życia, a w starych widzą trupy... Któż wie! może mają słuszności nieco, wiele jest cielsk bez życia – ale w młodych też wiele życia bez rozwagi i doświadczenia.

[...]

Każdy inny naród w tym położeniu nieszczęśliwym jak nasz, przeznaczonym się czując do życia i lepszych losów – poczułby instynktem, że mu z ofiarą,

<sup>2</sup> *Deus mirabilis, fortuna mutabilis* (łac.) – Bóg zadziwiający, szczęście zmienne.